



Fot. W. Zakrzewski.

Naszym jedynym problemem była niewola

– z Mieczysławem Boreckim rozmawia Grzegorz Kowal

Grzegorz Kowal: *Pochodzi Pan z dawnych Kresów II Rzeczypospolitej...*

Mieczysław Borecki: Tak. Urodziłem się w Gródku Jagiellońskim, miasteczku powiatowym wchodzącym w skład województwa lwowskiego.

G.K.: *W 1939 roku miał Pan zaledwie 9 lat. Wojna przerwała Pańskie dzieciństwo.*

M.B.: Jako 9-letnie dziecko obserwowałem działania wojsk niemieckich, które rozpoczęły oblężenie Lwowa. W moim miasteczku, oddalonym od Lwowa o 28 kilometrów, oddziały biorące udział w walkach miały siedzibę wypoczynkową. W tym czasie oddziały polskie, trzy dywizje pod dowództwem generała Sosnkowskiego, przedzierały się okolicznymi lasami do Lwowa. W okresie trwania walk przeżycia ludności były bardzo przykre. Na przykład młodzież akademicka, dwie kompanie z Uniwersytetu Jagiellońskiego, została zaskoczona i wzięta do niewoli. Byli oni wprawdzie uzbrojeni w broń francuską, ale naturalnie każdy z nich miał tylko po kilka naboju. Zostali zatrzymani w ówczesnej szkole żeńskiej. Trzymano ich przez kilka dni bez żywności, czy nawet wody. Był wśród nich m.in. Gustaw Holoubek, który później wspominał swoje przeżycia w kilku wywiadach telewizyjnych. Miejscowa ludność zorganizowała doraźną pomoc. Młodzież została

dopuszczona do dostarczenia żywności, jednak w początkowym okresie trudno się było dostać do szkoły z polskimi jeńcami, ponieważ niemieccy strażnicy wprowadzili ścisłą izolację. Ale zdarzały się też radosne epizody. Pochodzący z Kołomyi 49. pułk, który przedzierał się do Lwowa, zaskoczył i całkowicie rozbił odpoczywających Niemców. Przypatrywaliśmy się, jak ok. 400 do 600 SS-manów, częściowo w bieliźnie, częściowo bez obuwia, było grupowanych na rynku. Myśleliśmy, że nastąpi ogólny pogrom armii niemieckiej. No, niestety. To był tylko jeden z bardzo chwalebnych epizodów walki w 1939 r.

G.K.: *Wkrótce Niemcy przekazali te tereny ZSRR. Co się zmieniło?*

M.B.: Rozpoczął się okres gehenny, okupacji radzieckiej. Siła ówczesnych mediów i propagandy radzieckiej była tak duża, że właściwie miejscowa ludność, zwłaszcza ukraińska i żydowska, od razu przyjęła kurs antypolski. Jednocześnie przejmowała ona funkcje w administracji radzieckiej, począwszy od milicji, skończywszy na stanowiskach administracji samorządowej i nawet rządowej.

G.K.: *Rozpoczęły się też wywózki...*

M.B.: W styczniu 1940 r. z mojego miasteczka wywieziono ponad 35 dwuosiowych wagonów towarowych z polskimi rolnikami. Oni mieli po

NA ZACHÓD



TAM TRZEBA TWYCH RAK

PAŃSTWOWY URZĄD REPATRIACYJNY
PRZYDZIELA WARSZTATY PRACY
NA ŚLĄSKU OPOLSKIM I DOLNYM
INFORMACJI UDZIELAJĄ WSZYSTKIE
INSPEKTORATY REJONOWE

4–5 ha ziemi, byli właściwie biedni. Mimo to zostali uznani za „półpanów” polskich, zasługujących na wywiezienie na Sybir. Była zima, mrozy dochodziły do 20 stopni. Później otrzymywaliśmy informacje od wywożonych, że osoby starsze i dzieci nie przeżyły tego 4–5-tygodniowego transportu na Sybir. Rodziny wywożonych ludzi zostały zdziśiatkowane. Następnie, wiosną 1940 r., rozpoczęły się aresztowania polskich działaczy niepodległościowych, polskiej inteligencji, polskiej młodzieży. Na Sybir wywieziono kolejnych 20 wagonów. Do każdego wprowadzano od 25 do 30 kilku osób. Naturalnie ludzie ci byli pozbawiani większej liczby bagaży. Mogli brać tylko odzież i niedużą liczbę podstawowych rzeczy. Właściwie chodziło o pościel – nie wolno było zabierać nawet materaców. Wszystko odbywało się pod ścisłą kontrolą i konwojem specjalnych oddziałów NKWD. Trzecia masowa wywózka miała miejsce w czerwcu. Dotyczyła uchodźców z centralnych i zachodnich regionów Polski, w szczególności Żydów. Ówczesna gmina żydowska szacowała, że wywieziono ok. tysiąca Żydów. Natomiast według polskich księży, wśród wywiezionych znalazło się również ok. 200 Polaków.

G.K.: *To wszystko musiało wywierać bardzo duży wpływ na polską młodzież...*

M.B.: Młodzież była pozbawiona możliwości, jakiegokolwiek organizacji. Wprawdzie istniały polskie szkoły, ale część przedmiotów była zdominowana przez kanony propagandy radzieckiej. Buntowaliśmy się. Na przykład nie chcieliśmy uczęszczać do szkoły z okazji świąt kościelnych. Nasi polscy nauczyciele, którzy w tym czasie jeszcze mogli pracować w szkołach, wczesnymi godzinami rannymi składali nam „wizyty”, np. w Święta Bożego Narodzenia w 1940 r. Pukali do okien i drzwi, prosząc, żeby młodzież przyszła, bo w przeciwnym razie byli narażeni na aresztowania i wywóz na Sybir. Oczywiście, w tej sytuacji zrozumieliśmy, że reperkusje naszego buntu mogą mieć fatalne skutki dla naszych nauczycieli, i naturalnie, mimo świąt, uczestniczyliśmy w zajęciach szkolnych.

G.K.: *Jaka była świadomość tego, co się dzieje, wśród tak młodych ludzi?*

M.B.: Warunki, które narzucili nam nasi okupanci, spowodowały, że młodzież na Kresach bardzo szyb-

ko dojrzewiała. Nie było dla nas innych problemów, jak właśnie sprawa niewoli, okupanta, który deprawował naszą społeczność. Jediną instytucją, do której nie wazyli się jeszcze gremialnie wtargnąć, był Kościół. A nasi ówcześni kapłani (w moim miasteczku było pięciu księży), spisali się znakomicie. Powróć jeszcze do wydarzeń z września 1939 r. Rodzice naszego katechety, księdza Wehrsteina, byli Niemcami. W okolicach mojego miasteczka było 5 wiosek kolonistów niemieckich. On pochodził właśnie z jednej z nich. Perfekcyjnie znał język niemiecki. W czasie walk w okolicy Gródka, kiedy nasze oddziały atakowały miasteczko, on wraz z młodzieżą zajmował się ewakuowaniem rannych żołnierzy. Byli to żołnierze z rejonu Grodna, z 35. dywizji, którzy właściwie nie znali tych terenów. Nie dość, że byli pozbawieni możliwości kontaktu z miejscową ludnością, to jeszcze byli narażeni na dobijanie przez ukraińskich faszystów, którzy w tym czasie bardzo negatywnie zachowywali się w stosunku do ludności polskiej, a w szczególności do rannych żołnierzy. Właśnie ksiądz Wehrstein werbował do pomocy młodzież, w tym mnie. Moja ekipa przewiozła kilkunastu rannych żołnierzy do miasteczka. Te epizody również znalazły się w wywiadzie telewizyjnym Gustawa Holoubka. Podkreślił on wówczas, że młodzież dostarczała także ubrania. Mobilizowani żołnierze, a przynajmniej ich część, przychodzili do jednostek w najgorszych ubraniach. I te ubrania okoliczna ludność po rozbiciu wojskowych magazynów z odzieżą cywilną dostarczała w sposób konspiracyjny do szkoły, gdzie przetrzymywano polskich jeńców. No i kilkudziesięciu z nich, przebranych w tą cywilną odzież, zorganizowało ucieczkę. Przez dach przeszli do sąsiadującego ze szkołą budynku parafialnego, w którym mieszkali m.in. ksiądz Wehrstein i ksiądz Babiak, kuzyn Rydza-Śmigłego. No, a Gustaw Holoubek, nie mogąc skorzystać z tej brudnej i śmierdzącej, jak to określił, odzieży, naraził się na 5-letni pobyt w stalagach niemieckich. Podkreślał zresztą, że studenci, którzy w tej odzieży przedstawiali się do Krakowa, nie byli nawet legitymowani. Odzież odstraszała kontrolujących żołnierzy i żandarmerię niemiecką.

G.K.: *Po dwóch latach, w czerwcu 1941 r., w okolicach Lwowa znów pojawili się Niemcy.*

M.B.: Wtedy zrozumiałem, że mamy nie tylko okupanta radzieckiego, ale też niemieckiego. 29 czerwca 1941 r. czołwki niemieckie wkraczały do Gródka. Zobaczyłem, że ludność cywilna wita wojska niemieckie kwiatami. Ich entuzjastyczne zachowanie zmobilizowało mnie do zerwania z ogródka tulipanów. Zrobiłem bukiet i biegłem od budynku ojca przez rynek, chcąc wręczyć kwiaty niemieckim wyzwolencom. Ale zatrzymał mnie krzyk ojca. Wróciłem. Nie wiedziałem, o co chodzi. Ojciec mi zaraz wytłumaczył, że to drugi okupant. I wtedy zrozumiałem, że właściwie nic się nie zmienia. Postawa mojego ojca jednoznacznie dawała do zrozumienia, jaki będzie stosunek nowego okupanta do Polaków. A entuzjastycznie witająca oddziały niemieckie ludność to byli przede wszystkim miejscowi Ukraińcy. Myśleli, że w zamian dostaną swoją upragnioną niezależną ojczyznę.

G.K.: *A jaka była postawa Niemców?*

M.B.: Przypomina mi się taki epizod. Działaczka młodzieży ukraińskiej podbiega do oficera, który jechał na motocyklu, wręcza mu kwiaty. On te kwiaty przyjął, oglądnął, zatrzymał motocykl i otrząpał nimi buty. Następnie rzucił te kwiaty pod koła swojego motocykla i z uśmiechem odjechał.

G.K.: *Wróćmy do Pańskiej działalności konspiracyjnej.*

M.B.: We wrześniu 1943 r. do szkoły wtargnęła ukraińska policja w celu przeprowadzenia weryfikacji. Mieli tyczkę z zaznaczoną linią i robili segregację: młodzież, która była odpowiednio zbudowana i miała odpowiedni wzrost, tzn. przewyższała zaznaczoną linię, była zakwalifikowana do pracy. Zostałem skierowany do firmy, która naprawiała drogi. Polska szkoła została wówczas zamknięta i już w ogóle nie funkcjonowała, aż do 1944 r., do momentu ponownego wkroczenia armii radzieckiej. Ciężko pracowałem kilofem. Tak że w ciągu dwóch tygodni schudłem kilka kilogramów. Nie mogłem jeść. Sam kilof ważył z 5 albo 6 kg. Byłem wprawdzie odpowiednio wysoki, ale ze względu na problemy z żywnością, byłem niedożywiony. W związku z tym ta praca była ponad moje możliwości. Dzięki ojcu, który dał odpowiednią łapówkę w postaci wódki, skiero-

wano mnie do pracy na samochodzie ciężarowym, gdzie byłem palaczem, ponieważ były to samochody na *holzgas*, na gaz drzewny. W porównaniu z remontowaniem drogi była to praca o wiele lżejsza. Dienne zużycie drewna wynosiło od 200 do 300 kg. Miejscowa organizacja konspiracyjna wykorzystała fakt, że jeżdżę samochodem. Otrzymywałem zlecenia przewożenia paczek lub sprzętu rolniczego. W sprzęcie rolniczym, np. metalowych bronach, w środku były zdemonstrowane karabiny. Przewożono je do rejonu Komarna. Kierowcą był sześćdziesięciokilkuletni Niemiec z organizacji TODT. Inwalida z I wojny światowej, z ułomną nogą. Za odpowiednie wynagrodzenie w postaci miodu, mięsa, tłuszczu gęsiego albo całych gąsek podejmował się przewiezienia tych różnych ładunków. Przewoziliśmy również obuwie, a czasem też robocze ubrania. Później dowiedziałem się, że są one dostarczane dla jeńców francuskich. W tym czasie zostałem zaprzysiężony na konspiracyjnego łącznika miejscowej Armii Krajowej. W późniejszym czasie dowiedziałem się również, że była zorganizowana akcja ucieczki 16 lub 18 jeńców francuskich.

G.K.: *Dlaczego zorganizowano tę akcję?*

M.B.: Wśród uciekających jeńców francuskich większość stanowili francuscy Żydzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że są w pierwszej kolejności narażeni na likwidację. Uciekali w tych roboczych ubraniach i butach. Bo w obozie nosili chodaki. Takie wyżłobione drewniaki. Nosili to obuwie tylko dlatego, żeby trudniej im było uciec. Te makabryczne przeżycia jeszcze bardziej mobilizowały młodzież do walki o przetrwanie w trudnej rzeczywistości okupacji niemieckiej.

G.K.: *W lipcu 1944 r. przyszło „wyzwolenie”...*

M.B.: To był szok i wielkie rozczarowanie dla miejscowej ludności. Działająca w naszym miasteczku organizacja akowska była bardzo dobrze zorganizowana. Do czerwca 1944 r., pomimo penetracji przez miejscowe organizacje nacjonalistów ukraińskich nie było większych wpadek. Dopiero miesiąc przed wkroczeniem armii radzieckiej zostały ujawnione pewne ogniwa organizacyjne, co kilku konspiratorów przypłaciło życiem. W czasie wkraczania armii radzieckiej miejscowa organizacja akowska współpracowała z partyzantami

rosyjskimi, udzielała im wszechstronnej pomocy. Wychodziła z założenia, że sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców powinni być odpowiednio traktowani. Jak się później okazało, zapłacili za to wieloletnim pobytem na Syberii. W rejonie Dniestru oddziały naszej partyzantki zdobyły dokumenty niemieckie, rozbijając transporter opancerzony, w którym przebywali wyżsi oficerowie niemieccy, mający w planie zaminowanie przyczółków mostowych i mostów na Dniestrze. I ta dokumentacja została udostępniona czołwkom radzieckim. Dowódca brygady radzieckiej całował naszego dowódcę – Sulimę – za tę zdobycz, a wyrazy wdzięczności przekazał w obecności licznie zgromadzonych partyzantów i miejscowej ludności polskiej. No i po 3–4 dniach oddziały polskie zostały przez specjalnie oddziały radzieckie, jak się okazało NKWD, okrążone. Czołgiści, którzy remontowali czołgi uszkodzone w czasie marszu na zachód, uprzedzili naszych partyzantów. Część zamiejscowych partyzantów została przeprowadzona przez bagnisty teren i mogła uciekać do swoich miejscowości. Był wśród nich mój brat. Przedostali się do miasteczka, gdzie milicjant, Żyd, który ukrywał się wcześniej wśród polskich rodzin, uprzedził brata, żeby zgłosił się na ochotnika do armii Berlinga. Rzeczywiście, ci akowcy, którzy właśnie wyszli z lasu i od razu zgłosili się do oddziałów armii Berlinga, mogli uniknąć aresztowania, które, głównie we Lwowie już wtedy się zaczęły. W mniejszych miejscowościach aresztowano przede wszystkim dowódców konspiracyjnych. A aresztowania na masową skalę rozpoczęły się w styczniu 1945 r.. W tzw. obwodzie lwowskim zatrzymano ok. 17 tysięcy osób.

G.K.: *A jak Polacy przyjęli wiadomość o przesunięciu się polskich granic na zachód?*

M.B.: Fakt włączenia terenów polskich do Ukrainy radzieckiej, a właściwie do Związku Radzieckiego, spowodował bardzo silne oburzenie miejscowej ludności. Nie mogliśmy się pogodzić z faktem, że – uczestnicząc aktywnie w walce przeciwko okupacji niemieckiej, udzielając wszechstronnej pomocy partyzantom radzieckim, mimo wcześniejszych doznanych krzywd i upokorzeń ze strony ich władz – znowu zostaliśmy potraktowani przez drugiego okupanta jako wrogowie. Miej-

scowa ludność ignorowała ustalenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który działał w Lublinie i reprezentował radzieckie interesy. Czekaliśmy na konferencję pokojową. Wierzyliśmy, że na pewno te tereny przydzielili Polsce i nie zachodzi potrzeba wyjazdu za San. Mimo wszystkich trudności, mimo działalności UPA, Polacy nie decydowali się na wyjazd. Czynnikiem, który zdecydował, że zdecydowana większość Polaków ostatecznie zgłosiła swoją chęć wyjazdu, był fakt, że powodowało to zwolnienie aresztowanych członków rodzin. Przed komisją repatriacyjną, *de facto* deportacyjną, ustawiała się kolejka wieluset osób czekających na zarejestrowanie.

G.K.: *Wśród nich był Pan?*

M.B.: My zostaliśmy zmuszeni do wyjazdu w połowie maja 1945 r. W tym czasie nie było jeszcze jednoznacznych regulacji prawnych. Na rodzinę można było zabrać ze sobą 200 kg bagażu, w tym 40 kg żywności. Później limity zostały zmienione na 500 kg. Miejscowa władza radziecka właściwie składała się z miejscowych Ukraińców. Przejawiali oni skrajną nienawiść do Polaków i gorliwie przestrzegali tych zasad. Rodziny rolnicze mogły przewieźć jednego konia i jedną krowę. Nie można było przewozić trzody chlewnej, drobiu itd. Miejscowy przedstawiciel komisji repatriacyjnej specjalnie wprowadzał mieszkańców miasteczka do każdego transportu, w którym przeważała ludność wiejska. Każdy mieszkaniec do swojej karty miał dopisywane konia i krowę. W ten sposób można było więcej przewieźć przez granicę.

G.K.: *Pańska podróż zakończyła się pod Wrocławiem?*

M.B.: Tak, zostaliśmy przywiezieni do Brochowa [obecnie jedno z wrocławskich osiedli – przyp. G.K.]. Wcześniej jednak nie mieliśmy już odpowiednich możliwości zaopatrzenia kolejarzy radzieckich w alkohol. Transport został więc zostawiony i tak staliśmy 3 dni. Polska nazwa tej miejscowości później utrwaliła mi się w pamięci – to były Kotowice pod Wrocławiem. Znajdowała się tam filia zakładów Kruppa, gdzie produkowano sprzęt wojskowy. Spędziliśmy tam 3 dni. Właściwie na gołym, niezagospodarowanym terenie. W pustych domach. Przynajmniej woda była dostępna w dowolnych ilościach. Natomiast cały



Fot. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu.

czas, jak podkreślam, bardzo dotkliwy był brak chleba. Kiedy już dotarliśmy do stacji docelowej, czyli do Brochowa, o 4 nad ranem specjalne oddziały radzieckie wyrzucały mienie z każdego wagonu.

G.K.: *Czym się Pan zajmował po przybyciu do Brochowa?*

M.B.: W połowie lipca 1945 r. ojciec uruchomił piekarnię. I na zlecenie PUR-u, Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, piekł chleb dla Polaków przywożonych z Kresów, względnie wracających z przymusowych robót w Niemczech. Przeważali jednak ci pierwsi. Ja również pracowałem w tej piekarni. Pieczenie chleba nie było skomplikowaną pracą. Większe problemy sprawiała ochrona przed napadami radzieckich żołnierzy. Zwłaszcza ci żołnierze, którzy mieli powierzone funkcje służbowe, nie byli zaopatrywani przez swoje zwierzchnictwo w żywność. Musieli z konieczności sami sobie ją organizować. A to organizowanie przybierało postać napadów i kradzieży.

G.K.: *A czy kontynuował Pan działalność konspiracyjną?*

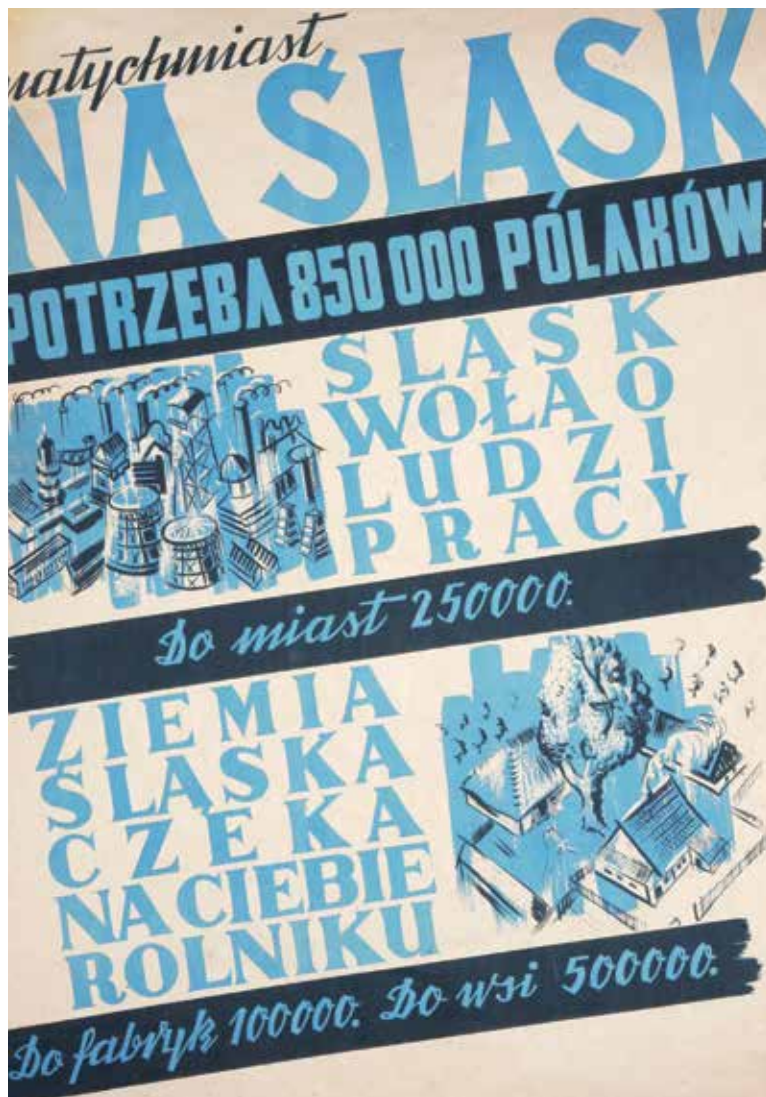
MB: Miejscowa ludność, zwłaszcza pochodząca z Kresów, naturalnie nie straciła swojego poczucia polskości i patriotyzmu. Powstawały konspiracyjne organizacje, takie jak Ruch Oporu Armii Krajowej, które w pierwszej kolejności zajmowały się obserwacją radzieckich zachowań, zwłaszcza jeżeli chodzi o masowy wywóz różnego rodzaju urządzeń, sprzętu, m.in. torów kolejowych. Tak dla przykładu: dziennie z Brochowa odchodziły 3–4 transporty szyn kolejowych, które były demontowane na wszystkich bocznych torowiskach, które łączyły np. Jelenią Górę, Kłodzko i inne miejscowości. Wyjątkiem była główna linia magistrali kolejowej, która prowadziła z Górnego Śląska przez Wrocław, Legnicę w kierunku Drezna. Natomiast inne linie zostały rozszabrowane. Trakcja elektryczna do Jeleniej Góry została zdemontowana i również była transportowana przez Brochów na wschód. Ja w tym czasie m.in. zbierałem informacje co do tego ile transportów i jaki sprzęt jest wysyłanych na wschód. Robiłem tak 2–3 razy w tygodniu po 2–3 godziny. Za każdym razem obserwowałem 1–2 transportów z różnymi maszynami.

G.K.: *Tymczasem, w czerwcu 1946 r., zostało przeprowadzone tzw. referendum ludowe,*

M.B.: Referendum 3 x TAK, oczywiście, utknęło w pamięci mieszkańców. Ówczesna opozycja, Polskie Stronnictwo Ludowe, nawoływała do głosowania 2 x TAK, a raz NIE. Wybory w styczniu 1947 r. też były dla mnie wielkim przeżyciem, bo jeszcze przed wyborami bardzo dużo mieszkańców Brochowa zostało w nocy aresztowanych. Część z nich była przetrzymywana w powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, który wówczas mieścił się przy ul. Komuny Paryskiej, w budynku późniejszego akademika. Był on tak przeładowany, że część więźniów, m.in. mój ojciec, była trzymana w piwnicy na węglu. Trwało to dwa tygodnie. Mimo, że po dwóch tygodniach wszystkich zwalniali, to ojca przetrzymali jeszcze przez tydzień. Trudno powiedzieć, z jakiej przyczyny.

G.K.: *Jakie nastroje panowały na tych terenach przed wyborami?*

M.B.: Zostałem oddelegowany do komisji, która miała sporządzić listy osób popierających Blok Demokratyczny, czyli zwolenników PPR-u i ówczesnej władzy. Towarzyszył mi pan, który był pracownikiem przedwojennego sądu. Mieliśmy przejść się po kilku ulicach, chodzić wg listy do mieszkań i namawiać do głosowania na Blok Demokratyczny. My zachowywaliśmy się pasywnie. Przychodząc, mówiliśmy, że zostaliśmy tutaj skierowani przez odpowiednie władze w celu zdobycia poparcia dla list Bloku Demokratycznego. Na przeszło 400 osób, które odwiedziliśmy, zebraliśmy tylko niewiele ponad 30 pozytywnych opinii. Wśród tych przeszło 400 osób było około 160–170 Cyganów. Z nimi sprawa była trudniejsza. Cyganie nie chcieli ujawniać ani swoich nazwisk, ani żadnych dokumentów. Zresztą i tak nie potrafiliśmy tych nazwisk odczytać. Generalnie ich stosunek był negatywny, żaden nie podpisał poparcia. Natomiast z pozostałych osób pozytywną odpowiedź dało nie więcej niż kilkanaście procent. Z tymi listami przyszliśmy do szefa komitetu, pana Śliwy, dyrektora parowozowni w Brochowie. Działacza PPR-u. Potraktował nas w sposób brutalny, grożąc więzieniem. Twierdził, że w pierwszej kolejności aresztowany będzie ten starszy



Fot. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Mieczysław Borecki (ur. 1930 r. w Gródku Jagiellońskim, d. województwo lwowskie) – doktor nauk ekonomicznych, podporucznik; od VIII 1943 r. szeregowy łącznik w 5 Dywizji Piechoty AK „Dzieci Lwowskich”; po 1963 r. współautor licznych projektów zagospodarowania złoża miedzi i badań ekonomicznej efektywności projektowanych inwestycji w górnictwie miedzi; obecnie pełni funkcję skarbnika w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Dolnośląskim.

pan, który mi towarzyszył. Mnie też udzielił odpowiedniej, grubiańskiej reprimendy. Mieliśmy wrócić i znów przekonywać. Reakcja starszego pana była następująca: sam, różnymi ołówkami i piórami, podpisał kilkadziesiąt nazwisk. Z nowymi listami zgłosiliśmy się ponownie do szefa komitetu, który przyjął je do wiadomości, ale jednocześnie zakwalifikował nas bardzo negatywnie. Ale ponieważ, że w międzyczasie z innych zespołów otrzymywał podobne informacje, zdał sobie sprawę, jaka jest postawa ludności.

G.K.: Jak więc mieszkańcy Brochowa zareagowali na wyniki wyborów, według których tzw. Blok Demokratyczny poparło 80% Polaków?

M.B.: Komisje wyborcze wyglądały zupełnie inaczej, niż dzisiaj. Każda z nich miała obstawę wojskową i milicyjną pod nadzorem Urzędu Bezpieczeństwa i PPR-u. Tak to wyglądało. Pomimo olbrzymiego zastraszenia ludzie wrzucali do urn numery, które były dostarczane drogą konspiracyjną. Głosowali na jedyną opozycję – Polskie Stronictwo Ludowe. To, że wybory zostały sfałszowane, było dla społeczeństwa sprawą oczywistą.